NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 i 152-05.

№ 34
WARSZAWA
DNIA 11 SIERPNIA 1912 R.

Sen o ciszy.

„Cichy dworku modrzewiowy!..“

Ileż to razy wspomina się z utęsknieniem w rozgwarze i hałasie wielkiego miasta ten cichy dworek modrzewiowy, wiejskie zacisze. W dzień: tylko bujne życie przyrody tętni przytłumionemi i mile dla ucha brzmiącemi szmerami, kiedy niekiedy dojdzie daleki rozgwar pracy w polu czy w zagrodach, stłumiony odległością, rozpraszający się w listowiu i konarach drzew. Zapada wieczór, a z nim rośnie i cisza, wreszcie nadchodzi noc, której spokój zrzadka tylko zakłóci brzęk świerszcza, rechotanie żab z nad stawów i mokradeł, odległe szczeknięcie psa, lub krótki poświst nocnego stróża. A pozatem cisza, kojąca nerwy, rozkoszna.

Lecz miasto, zwłaszcza zaś wielkie miasto, wrze i huczy hałasem od świtu do świtu. Nie znaleść prawie jednej, krótkiej choćby chwili bezwzględnego, zupełnego spokoju. Od świtu wozy turkoczą po bruku, a każde stuknięcie o kamień staje się nową torturą dla czuwającego mózgu; od świtu brzmią rozmowy, nawoływania. Potem budzą się domy. Stuk kroków, hałas zamykanych i otwieranych drzwi, hurkot przesuwanych sprzętów, trzepanie dywanów, nieuniknione odgłosy pracy rękodzielniczej; jeszcze później odzywają się fortepiany na różnych piętrach, grające w najróżniejszych tonacjach i tempach, z podwórek rozbrzmiewa wesoły — dla nich samych, lecz nie dla słuchacza — powrzask dzieci, rozpoczyna się piekło dla nerwów, którego panowanie wszechwładne ustaje trochę, niezupełnie, dopiero późną nocą na krótką chwilę. Bo znowu zbliża się świt, a wraz z nim...

Setki, tysiące ludzi cierpią dotkliwie z powodu bezwzględności swych sąsiadów. A przecież właśnie w wielkiem mieście nie da się uniknąć, że człowiek, pracujący umysłowo, mieszka niedaleko rękodzielnika, pracującego fizycznie w domowym warsztacie, lub obok rodziny, obdarzonej zbyt liczną i nie okazującą bynajmniej zamiłowania ciszy progeniturą. A zresztą czyż starsi liczą się bardziej z pojęciem spokoju i ciszy? Jakże nieliczna tylko mniejszość naszych sąsiadów bywa na tyle wyrozumiała, by uwzględnić, poniekąd przynajmniej, nasze prośby i żale; przeważna większość zwykła uważać każdą prośbę o względny spokój za wtargnięcie w osobistą wolność — wszakże: „wolnoć Tomku w swoim domku!“

Hałas stał się plagą dla mieszkańców wielkich miast, plagą, która zatruwa życie, częstokroć uniemożliwia wprost umysłową pracę, a przedewszystkiem szarpie nerwy w niemiłosierny sposób.

Czyż niema na to rady?

Buduje się u nas wspaniałe domy, z ozdobnemi portalami, z marmurowemi schodami, sufitami zdobnemi stiukiem, ścianami pokrytemi kosztowną tapetą, z windami frontowemi i dla służby, słowem budowle wspaniałe, wzniesione z uwzględnieniem wszystkich niemal zdobyczy nowoczesnej techniki. I mają te wszystkie gmachy tylko jeden błąd, ale za to kardynalny: Oto ściany i sufity są tak cienkie, że o mieszkaniu wyłącznie dla siebie, w dosłownem znaczeniu słowa, mowy być nie może. Każdy sąsiad, mieszkający z lewej i prawej strony, podemną i nademną, *nolens volens*, uczestniczy w mojem życiu. Błąd jeden, ale kardynalny, nowożytnych budowli.

Czyż niema na to rady?

„Cichy domku modrzewiowy!“

Miałem kiedyś sen dziwny. Oto śniło mi się, że powstało, nie wiem, w Warszawie czy gdzieindziej, Towarzystwo walki z hałasem, które pozyskało olbrzymią wprost liczbę popleczników i członków, pozyskało bardzo znaczne fundusze i przystąpiło energicznie do dzieła. Pierwszym krokiem była budowa domów całkiem nowego typu. Były

to domy nawet o dosyć skromnym zewnętrznym wyglądzie, rezygnujące z nowoczesnej wspaniałości, tak często niestety przypominającej tandetę, na którą tyle pieniędzy wydaje bezcelowo nowoczesny architekt. Skromne były schody, skromne korytarze i windy. Ale zato kosztem innych oszczędności podłogi i sufity były tego rodzaju, że literatowi, mieszkającemu na drugiem piętrze, pracującemu z zasady w dzień, nie przeszkadzał w niczem profesor muzyki, zamieszkujący tuż pod nim, o piętro niżej, i kształcący całe szeregi uczniów w wirtuozowskiej grze na fortepianie. Dziwniejsze jeszcze, że zaledwie wiadomość o budowie nowych domów rozniosła się po mieście, zanim jeszcze położono pierwsze kamienie węgielne, zewsząd poczęli się zgłaszać amatorowie wynajmu, gotowi nawet zapłacić wyższe czynsze, aniżeli za swe dawne hałaśliwe mieszkania. Nie było to jednak potrzebne, bo wydatki spowodowane zabezpieczeniem domu przed hałasem zostały w zupełności pokryte z oszczędności, uzyskanych przez zaniechanie wspaniałości zewnętrznego wyglądu domu.

Nie koniec był snu na tem. Budowa nowych domów stanowiła zaledwie część ogólnego planu, jaki wspomniane Towarzystwo sobie nakreśliło. Był on nieporównanie obszerniejszy. Nie dało się oczywiście w szybkim czasie przebudować wszystkich istniejących domów, choćby nawet praca najraźniej postępowała naprzód. Więc w każdym razie bardzo znaczna część popleczników nowej idei była skazana na mieszkanie w starych domach. Pomyślano jednak, aby ulżyć ich losowi i to w dwojaki sposób. Przedewszystkiem zajęto się uszczelnieniem podłóg i ścian przed przepuszczaniem dźwięków, co w rzeczywistości kosztowało nawet nieporównanie mniej, aniżeli przypuszczano w pierwotnych obliczeniach. Krzesła i wogóle sprzęty częściej przesuwane otrzymały pod nogi podkładki z grubego filcu, dzięki czemu ruch ich, nawet po chropowatej bardzo podłodze, nie sprawiał prawie żadnego szmeru, podobne podkładki, lecz jeszcze grubsze, dostały się pod fortepiany i maszyny do szycia, z tyłu pianin umieszczono ciężkie opony, tłumiące głos i nie pozwalające dźwiękom przedostawać się przez ściany pokoju. Wszystkie te środki nie były nazbyt kosztowne, a jednak w bardzo znacznej mierze zapobiegały złemu dawniej istniejącemu. Zasadą działania było zapobiec powstawaniu hałasu, ewentualnie zmniejszać i tłumić go w tych wypadkach, gdy nie można go było w zupełności uniknąć. Więc zbyt cienkie ściany, zwłaszcza tak zwane przepierzenia, pogrubiono warstwą cegieł, a w miarę zamożności domu pokrywano jeszcze dywanami. Co prawda pewna grupa hygienistów wystąpiła bardzo energicznie przeciwko dywanom, dowodząc, że bywają one rozsadnikami chorób zakaźnych, że zatruwają powietrze i t. p., ale znaleźli się także uczeni, którzy bronili tezy, że spokój nerwowy jest równie ważny dla organizmu, jak dobre powietrze dla płuc i że granica, kiedy obecność dywanów staje się szkodliwą, jest nader nieuchwytną.

Ostatnim środkiem, jaki Towarzystwo zastosowało, było utworzenie „domów odpoczynku". Pod niejednym względem upodobniały się one do naszych hotelów, w istocie swej jednak jakże były odmienne. Wszystkie bez wyjątku były zbudowane w głębi podwórzy, raz dlatego, aby tem lepiej zabezpieczyć je przed hałasem mogącym dochodzić z ulicy, powtóre dlatego, aby wznosząc je na tańszym terenie, udostępnić korzystanie z nich także mniej zamożnym. Przez potrójne drzwi, obite filcem i zasłonięte podwójnemi portrjerami, wchodziło się do przedsionka. Tutaj po opłaceniu należytości trzeba było bądź zmienić obuwie na zupełnie ciche, bądź na zwykłe obuwie włożyć jakby pantofle filcowe. Napisy na drzwiach upraszają gości, by wstrzymali się od głośniejszej rozmowy. Pierwsza wielka sala, do której się wchodzi, to niby wspaniały ogród zimowy; z powały płynie łagodne światło, rozproszone białemi, matowemi szybami. Światło olbrzymich elektrycznych lamp łukowych, więc niezależne całkiem od pory dnia i pogody. Pod stopami zielona murawa, z boku wygodne ławeczki do wypoczynku. Idziemy dalej. W drugiej sali olbrzymi basen, ciepła woda zachęca do kąpieli; niby plaża morska z rozsypanym obficie piaskiem, brak tylko hałasujących widzów, naokół panuje najzupełniejsza cisza. Powietrze wszędzie zdrowe i ożywcze, przepojone sztucznie ozonom przy pomocy specjalnych maszyn elektrycznych.

To sale ogólne. Obok nich osobne pokoiki dla tych, którzy potrzebują do wypoczynku zupełnego odosobnienia. W pokoikach łóżko, mały stolik, krzesło, wieszadła na ubranie; na stoliku atrament, pióro i karafka świeżej wody. Po zamknięciu drzwi nie dochodzi z zewnątrz żaden absolutnie odgłos, nawet gdyby sąsiad wbrew przepisom wyśpiewywał na całe gardło...

...Hałas trzepania dywanów, przedziwna kakofonia trzech fortepianów, idących z sobą w zawody, krzyk dzieci na podwórku, łoskot przewracającego się w sąsiedniem mieszkaniu krzesła zbudziły mnie z dziwnego snu. Spać czy śnić dalej w obecnych warunkach było złudzeniem...

Czy jednak niema rady na hałas? Czy sen o ciszy musi zawsze tylko snem pozostać?

St. Sierosławski.

Nasze szkoły.

(Dokończenie)

A wszystko to razem, to dopiero początek roboty. Komisja edukacyjna funkcjonowała lat kilkanaście, stworzyła na swoje czasy rzecz wspaniałą, nadzwyczajną — ale raczej w zamierzeniu niż w faktach. Wiemy, jak dalece praktyka szkolna owych czasów odbiegła od ideału jej twórców, jak dążenia ich rozbijały się o nieudolność nauczycieli, niechęć i przesądy rodziców, złośliwe intrygi i zawiść szkół współzawodniczących i obrońców starej rutyny. Aby znaleźć trwałą podstawę, reforma szkolna musi urobić sobie opinję, przełamać zakrzewione obyczaje, wychować rodziców, którzyby ją zrozumieli i poparli. Inaczej, najgłębszy, najmądrzej obmyślony system pozostanie bezpłodnym lub ulegnie spaczeniu. Wiele przykładów takiego spaczenia przytacza Le Bon w swej krytyce wychowania publicznego we Francji.

Nie jest to bynajmniej rzeczą przypadku, lecz wynikiem ścisłej współzależności, że wszelkie epokowe prądy reformatorskie w wychowaniu pojawiały się równocześnie z silnemi prądami reform społecznych a nawet w dobie wielkich politycznych przewrotów oraz, że każdy prawie z głośnych i zasłużonych odnowicieli szkoły równocześnie rwał się do odnawiania budowy społecznej. Jak we Francji Rousseau, tak i u nas w XVIII wieku ci sami, co budowali gmach edukacji narodowej, tworzyli plany naprawy Rzeczypospolitej, gdyż jedno bez drugiego nie dało się dokonać, a nawet nie dało się logicznie pomyśleć.

Wszystko, co się robi po zatem—co we wszelkich warunkach robić należy, nie jest reformą i nie obejmuje szkolnictwa, są to tylko ulepszenia zwolna i nieznacznie urabiające grunt pod posiew nowych idei wychowawczych. Można dokonywać tych ulepszeń w poszczególnej szkole, w poszczególnej klasie, nawet w ogniskach rodzinnych. Każde pismo pedagogiczne, każdy nauczyciel, każda matka może w pewnej mierze popierać i posuwać naprzód tego rodzaju drobne reformy, torujące drogę wielkim, jedynie przez cząstkowe obalenie złych zwyczajów a ustalenie lepszych.

Wszystko to jednak ma się do reform szkolnictwa, tak jak filantropijne lekcje czytania i pisania, udzielane biednym dzieciom przez dobre panie, do bezpłatnej, powszechnej, ogólnie obowiązującej szkoły ludowej. Służą one do podniecania i podtrzymywania poczucia potrzeby oświaty, lecz nie zdołają jej szerzyć, ani też skutecznie zwalczać analfabetyzmu.

Mówiąc o naszych szkołach, każdy nieuprzedzony obserwator przyznać musi, że w dziedzinie tych sporadycznych ulepszeń, zdziałały one w stosunku do możności dość dużo, a kształcona w nich młodzież będzie miała bezwątpienia wyższą skalę wymagań pedagogicznych i jaśniejszą świadomość wychowawczych zasad, niż jej ojcowie i matki.

Nie możnaby się dziwić, gdyby z jej grona pojawili się w przyszłości przy sprzyjających warunkach istotni reformatorowie naszego szkolnictwa.

Byłoby jednak do życzenia, aby ci, co kiedyś może na szerszym terenie do urzeczywistnienia reform przystąpią, wyzwolili się z przesądu, że kraj nasz tylko przez bierne i ślepe naśladownictwo zagranicy zdobycze postępu przyswoić sobie może.

Mianowicie w dziedzinie wychowania ten system tłumaczenia żywcem z obcego tekstu, niedaleko nas posunie, a nawet do pewnego stopnia zatamować może wiele *obfitsze a bliższe źródła* bujnego rozwoju.

W ostatnich kilku latach w porze kształtowania się naszych szkół, świat pedagogiczny krzątał się gorliwie dla zebrania na cywilizowanym zachodzie wzorów godnych przeszczepienia na nasz grunt. Zwiedzano nietylko europejskie szkoły, lecz sięgnięto do Ameryki. O ile wycieczki te czynili ludzie kompetentni, pedagogowie a nie dyletanci, rzadko wracali z nich zbudowani. Imponowała im tu i owdzie wielość szkół, ich uposażenie, wolność, a zarazem i opieka, z jakich korzystały w społeczeństwach oświeconych, stąd łatwość zastosowania wszystkich ulepszeń przez hygienę wskazanych i zaopatrzenie w udoskonalone środki naukowe. Sam jednak system, kierunek i metody wychowania i nauczania nie często wzbudzały podziw, a nieraz wywoływały zgorszenie.

Nawet w tych krajach, gdzie względnie najwięcej upatrzono wartościowych przedmiotów importu dla naszego szkolnictwa, np. w Anglji, szerokie stosowanie kar cielesnych, musiało się wydać wstrętnym, archaicznym przeżytkiem w oczach przybyszów z ojczyzny komisji edykacyjnej.

Jeden z tych podróżników pedagogów w rozmowie ze mną stwierdził jednak, iż objechawszy niemal całą Europę, jedynie tylko w Anglji spotykał przykłady, które na nasz grunt przeszczepiać warto. Naturalnie nie miał na myśli kary cielesnej.

Sądzę, że znalazłby je w Ameryce, i tam jednak zapewne bardzo staranie z plewy ziarno wybieraćby należało.

Gdy od obrazu współczesnej Europy przeniesiemy się myślą wstecz, do dziejów wychowania w Polsce, musimy dojść do wniosku, że najcenniejsze pedagogiczne nabytki bywały u nas albo zupełnie rodzimym wytworem, albo bardzo samoistną przeróbką obcych idei i pomysłów.

W polskim ruchu reformatorskim z końca XVIII i początku XIX wieku znaleźć możemy także nieocenione skarby mądrych, genialnych nawet pedagogicznych i metodycznych wskazań, któreby i dzisiejsze szkol-

nictwo zbogacić albo i odrodzić mogły. Niestety, nić wielkiej tradycji rwała się nieustannie, a w końcu zupełnie zaginęła. Dzisiejsi pedagogowie polscy rzadko sięgają do tych zagrzebanych skarbów, a wielu z nich nawet nie przeczuwa, że w głębi minionej epoki, tuż blizko bije tak obfite i żywe źródło pedagogicznej mądrości.

Jesteśmy w dziedzinie wychowania skarlałemi potomkami wyborowej rasy, której wybitne w danym kierunku talenty zeszły na marne skutkiem utraty tej areny, na którejby się rozwinąć i udoskonalić mogły. Naród, który wyprzedził inne w dziedzinie szkolnictwa, był i jest dotąd własnego szkolnictwa pozbawiony, zamyka się co najwyżej — jak w Galicji — w dość ciasnej przybudówce dogmatu obcej szkoły. Przez długą zależność od cudzoziemskiej kultury, przestał wierzyć we własną i mierzy swą wartość tylko stopniem swego podobieństwa do innych, uprzywilejowanych narodów.

Pozostaliśmy o 50 lat poza Europą — a więc doganiajmy Europę, oto dziś jedyne powszechnie u nas zrozumiałe hasło postępu.

Należy sobie jednak postawić pytanie, czy w warunkach tak dalece nieeuropejskich, w pełnej mierze Europę doganiać można, w razie zmiany warunków, czy w każdym względzie za nią iść warto.

To ostatnie pytanie warto sobie stawiać i dziś przy przeprowadzaniu owych drobnych reform, o których wspominałam. Niech nas do nich nie zraża fakt, że ich dotąd nigdzie prócz u nas nie spotykamy. Brak plomby zagranicznej nie świadczy jeszcze wcale, że towar jest zły.

Należy wypróbować jego użyteczność a nie odrzucać go lekkomyślnie, w przekonaniu, że my sami bez obcych kierowników nigdy się na nic dobrego nie zdobędziemy. Fakty przeczą temu. Tak się naprzykład rzeczy mają z usunięciem stopni, zredukowaniem świadectw, skasowaniem kar i nagród. Tam, gdzie tę reformę przeprowadzono zupełnie konsekwentnie, dała ona bardzo dobre, można powiedzieć nawet świetne rezultaty. Dlaczegoż to nie stanowiło zachęty dla innych? Oto dlatego, że żaden zagraniczny autorytet nie uświęcił tej nowości, a my jedni od drugich uczyć się nie lubimy. Dobrze, że nie wiedzieliśmy, iż nie dalej jak 8 lat temu, pewien francuski pedagog-hygienista bardzo nieśmiało proponował taki zamach na tradycje szkolne, jak 5-cio minutowe przerwy między lekcjami! Oczywiście u nas, gdzie ta reforma liczy więcej niż 30 lat, nie bylibyśmy się posunęli do zredukowania godziny nauki na 45 minut.

Nie mogąc dokonywać reform na szeroką skalę, pocieszajmy się myślą, że w wychowaniu każda poszczególna korzystna zmiana odbija się dodatnio na rozwoju młodzieży. Ileż zbytecznego mozołu i łez gorzkich wylanych nad elementarzem oszczędziło dziatwie skasowanie sylabizowania i zastąpienie go przez metodę obrazkowo-głosową. Taka sucha niegdyś, czysto pamięciowa nauka jak geografja, jakże ponętną się stała, gdy w niej zwyciężyła metoda Nałkowskiego.

O ileż więcej niż do dydaktycznych stosuje się do reform wychowawczych, powodujących pożądane zmiany w stosunku ucznia do nauczycieli i szkoły. Wpływają one równocześnie na rozwój charakteru i umysłu, gdyż tem lepsze rezultaty pracy umysłowej, im spokojniejszy i pogodniejszy towarzyszy jej nastrój. Strach przytępia rozum; szarpanie nerwów osłabia funkcje mózgu. Najdalej posunie się w naukach nie ta młodzież, która się uczyć musi, lecz która się uczyć lubi. Wytworzenie tego zamiłowania leży w znacznej mierze w zakresie możności naszych dzisiejszych szkół i wychowawców, a tu i owdzie — przyznać należy — dużo już w tym kierunku zrobiono.

We wszystkich tych usiłowaniach rodzice muszą współdziałać ze szkołą, bez ich poparcia bywają one bezowocne nawet tam, gdzie podstawą bytu szkoły jest budżet oświaty, a cóż dopiero u nas, gdzie istnienie jej opiera się na wpisach uczniowskich. Może największym hamulcem udoskonalenia naszych szkół jest konieczność przystosowywania się do rodzicielskich przesądów i nałogów, zaś najsilniejszą podnietą a zarazem osłoną byłaby światła i kompetentna opinja publiczna, zdolna ocenić i utrwalić każdą zdobycz pedagogicznego postępu.

Nie mając oparcia we własnej państwowości—szkoła musi go szukać w społeczeństwie. Przystosowane do jej potrzeb normy prawodawcze muszą jej w pewnej choć mierze zastąpić normy obyczajowe, a ponieważ twórcą obyczaju jest ogół, on zatem w swej całości odpowiada za wartość naszego szkolnictwa.

I. Moszczeńska.

3)



Aza

III.

Po tem bolesnem dla Azy zdarzeniu porozumienie między nią a Kronickim weszło na inne tory. Stało się normalniejsze, bardziej rzeczywiste. Kronicki nie pieścił już psa tak bałwochwalczo, mniej ulegał jego kaprysom, natomiast, obcując z nim, starał się wydobyć z jego natury wszystkie te walory zręczności, instynktu i upodobań, do jakich pies dzięki swej rasowości był predestynowany. Zaprawiał go więc do posłuszeństwa, uczył przemyślności — „układał“ go. Był dla niego w miarę ostry i w miarę powolny. Nie nadto wymagający, lecz i nie pozwalający na uchylenia od zgóry powziętego rygoru. Ze swej strony Aza okazywała swemu panu tyleż posłuszeństwa, co i przywiązania. Nadto była zawsze wesoła, rozigrana, równie chętnie do posłuchu, jak do swawoli. Kronicki polubił ją ponownie; właściwie — dopiero polubił. Nie rozstawał się z nią niemal. Chodziła za nim nieodstępna, że w kole znajomych, do których po dłuższem trwaniu w samotności, znów był przylgnął, nazywano ją kochanką lub żoną. Niekiedy mówiono „następczyni“.... Znano ją powszechnie, powszechnie też pieszczono, była bowiem miła, miała wytworne linje kształtów, prześliczny układ łba i szyi, niezwykle zręczne ruchy sarny obłaskawionej i tegoż zwierzęcia wyraz ślepiów, zawsze wilgotnych i czarująco wylęknionych. Kronicki dumny był ze swego psa-przyjaciela. Dumny i zazdrosny... Pies bowiem przyjacielski i poufały z natury swej rasy, radował się i łasił do każdego, kto go przywołał.

— Cóż chcesz — uspakajał Kronickiego, jeden z jego dobrych znajomych—pies rasowy jest głupi, pójdzie za każdym, kto go pogłaszcze...

To „uspokojenie“ sprowadziło nową udrękę na Kronickiego. Nachodziły go chwile, w których pewny był, iż lada dzień, lada godzina utracić musi psa-przyjaciela.

Wraz z tą udręką wstały z zapomnienia przysypane przesłanki refleksy życiowe. Kronicki znów stronić począł od ludzi.

W czasie jednej z takich ucieczek zapędziło go nieopatrznie wraz z psem do odległego zamiejskiego ustronia, gdzie po szuwarach i wiklinach pełzały resztki nieprzebolałych wspomnień. Omotało go wnet odrazą, owiało żałością — uciekał z powrotem między ludzi, wlokąc za sobą ból, pomieszany z głuchym, tajonym gniewem...

Dzień był jeszcze u szczytu. Piękny, niedzielny dzień, roześmiany słońcem, rozigrany beztroską świątecznego wywczasu. Aza, bardziej swawoliła, niż kiedykolwiek, odurzona przestrzenią, upojona świeżością powietrza, ośmielona wymową pochlebnych spojrzeń, rwała się do zabawy, swawoli, igraszek. Chciała się rzucać wszystkim na piersi, wszystkich zaczepiać, chwytać za poły, obszczekiwać, obskoczyć... Przebiegała więc z jednej strony na drugą, to puszczała się pędem przed siebie, by wróciwszy po chwili, znów zawieruszyć się w falującym tłumie. Tak ginęła Kronickiemu z oczów co chwila. A zgubiwszy się, stawała wśród mrowia ludzkiego bezradna, zafrasowana, węsząca po bramach i skrętach ulic. Kronicki zrazu strzegł jej pilnie, przywoływał, zabiegał drogę, gonił, słowem pomagał jak mógł odnajdywać siebie. Lecz oto uderzyły weń złośliwem przypomnieniem słowa znajomego:

„Pójdzie za każdym, kto ją“ — —

I zapałał wściekłym, rozpacznym gniewem. Pójdzie!.. Pójdzie za każdym!..

Skurcz bólu chwycił go za gardło. Z trwogą począł rozglądać się dokoła...

Widzi ją. Jeszcze widzi... Ginie mu na zakręcie.

Biegnie w tamtą stronę, Aza stoi przez chwilę w ulicy, bezradna, rozgląda się to w jedną, to w drugą stronę, wreszcie przystaje do jakiegoś wysokiego pana, który z figury, ubrania i ruchów bezwątpienia podobny jest do niego. Kronicki idzie za nimi, tak jednak, by go Aza dojrzeć nie mogła i zdaleka, po przez głowy przechodniów, obserwuje jej działania. Aza ogląda się od czasu do czasu za siebie, wciąż jednak trzyma się blizko owego nieznajomego. W pewnym momencie opuszcza go nagle i przystaje do innego. Mniej już podobny do Kro-

nickiego ten drugi, za to więcej na nią łaskawy: głaszcząc ją, zagląda jej w ślepia, oklepuje... Aza idzie za nim, wnet go jednak wymija o kilka kroków i dopiero, gdy nieznajomy skręcił do bramy, wraca się i bieży za nim. Ten ją jednak odpędza — w tej chwili dopada zadyszany, trzęsący się Kronicki.

— Ty, podła! Ty... — rzuca się na nią zaperzony.

Pies przez chwilę spogląda niedowierzająco, jakby w osłupieniu, wnet jednak wybucha szałem radości.

Gniew Kronickiego taje w jednej chwili.

— A widzisz, głupiutka, widzisz! No, Azuś, no...

Przywołuje dorożkę i uwozi swą zgubę odnalezioną, wzruszony i udobruchany.

Przez dwa dni następne Kronicki pozornie był spokojny, trzeciego znów naszła nań zmora udręki.

„Pójdzie za każdym, kto — — —" włóczyło się za nim, jak uparte licho.

No, niechby!..

Przywołał psa i znów poszli między tłum falujący.

W Alejach, gdzie największe przelewały się fale, spuścił Azę z oka.

Zawieruszyła się wnet swoim zwyczajem. Kronicki chowając się za plecy przechodniów, obserwować począł jej zakłopotanie. Wyżlica obejrzała się kilkakrotnie za siebie, poczem przystanęła i po chwili biec poczęła w kierunku powrotnym. Wraca do domu—ucieszył się głośno Kronicki.

Ale ona skręciła w pierwszą napotkaną przecznicę i tam biegać poczęła od bramy do bramy. Gdy ją, tu i owdzie przepędzono, stanęła na środku ulicy i żałośliwie spoglądać zaczęła w kierunku, gdzie przelewało się z szumem morze ludzkie. Podbiegła bliżej ku głównej ulicy, znów zatrzymała się. Tu zafrasowała się szczerze. Fantazja ją opuściła, długie swe uszy opuściła po sobie, jakby na znak bezradności, i tak stała bez ruchu, wpatrzona w jeden punkt, skąd spodziewała się snać wybawienia. Kronickiego dławiło wzruszenie, ale z drugiej strony radowała go piekielnie ta męczarnia, jaką sprawiał Bogu ducha winnej ofierze.

Ktoś z przechodniów zainteresował się Azą. Uciekła od niego. Uciekła i od drugiego. Trzeci podszedł ku niej, wyciągnął rękę, pogłaskał—nie broniła się. Chciała iść za nim, odpędził ją, opryskliwie.

— Widzisz, masz!—syknął Kronicki.

Postała chwilę; potem ubieżała kilka kroków. Znów ją ktoś zaczepił, znów ona za kimś podreptała.

Kronicki wytężał wzrok, by widzieć dokładnie. Nagle Aza spostrzegła kogoś wyłaniającego się z tłumu i rzuciła się pędem ku niemu. Nuż go obskakiwać, łasić się, obskamlać...

Kronicki zatrząsł się, zadygotał ze wzruszenia. Jeżeli będzie szła za nim, pobiegnie i całej komedji kres położy — zdecydował. Ale Aza, mimo swej pozornej radości, nie gotowała się jakoś do towarzyszenia owemu nieznajomemu. Ten uszedł parę kroków i obejrzał się za nią. Znów uszedł i znów się obejrzał. Poczem zawrócił, popatrzał na nią przez chwilę, rozejrzał się dobrze dokoła, pogadał z nią i, ruszając w swoją stronę, przywował ruchem ręki.

Pobiegła za nim. Wnet znikli oboje w bramie. Kronicki zaraz wpadł za nimi. Przebiegł obydwa podwórka, obiegł wszystkie klatki schodowe, potem stał kilka godzin pod bramą. Wiedział, że może iść do stróża, wypytać się dokładnie o mieszkańców domu, dowiedzieć się, odnaleźć — nie zrobił jednak tego.

Cały wieczór przewałęsał po ustronnej uliczce.

Szalejący z gniewu i udręki powrócił do domu.

Podła, podła, podła!..

Zamknął się w swym gabinecie i przesiedział, gryząc palce do krwi, noc całą.

Nazajutrz już od wczesnego ranka czatował pod bramą owego domu. Po dwu godzinach płonnego oczekiwania zamigotało mu w bramie coś znajomego. Zadrżał na całem ciele, omal nie upadł ze wzruszenia, lecz miast pobiec bliżej, cofnął się za węgieł domu. W chwilę potem wyłoniła się z bramy postać nieznajomego. Szedł w towarzystwie stróża, z którym żywo rozprawiali, wskazując rękami w kierunku podwórka.

Kronickiemu wydało się, że słyszy wymówione przez stróża: „policja", na co nieznajomy zaprzeczył ruchem głowy i rzekł słów kilka, z których do uszu Kronickiego dobiegły dwa tylko: „do kurjerka"...

Wraz potem nieznajomy gwizdnął. Z bramy wypadła Aza i w radosnych podskokach podbiegła do nieznajomego.

W tej chwili z za węgla padł strzał. Zaledwo nieznajomy zdążył się cofnąć do

bramy, rozległ się przeraźliwy skowyt. Głuchem echem odpowiedział mu huk drugiego wystrzału...

Za chwilę do rynsztoka spływała obfitą strugą krew prześlicznego, rasowego zwierzęcia.

Człowiek dawał jeszcze słabe oznaki życia...

Wzrokiem stygnącym patrzył błagalnie w stronę, skąd nie dochodziła go już modlitwa sarniego spojrzenia.

. . . .

. . . .

W papierach po Kronickim znaleziono kilka pomiętych, porzuconych kartek.

Na wszystkich wypisane były te same słowa:

Pies rasowy zdradzi, bo głupi. Kobieta jest mądra — — —

Bolesław Gorczyński.

KONIEC.

MAURICE MAETERLINCK.

Piosnka II.

A co mu powiedzieć trzeba,
Gdyby wrócił jeszcze?
Powiedz mu, że nań czekano,
Aż po zgonu dreszcze...

A gdyby mnie ciągle pytał,
Nie poznając wcale?
Mów, jak siostra doń, bo serce
Może ssą mu żale...

A gdyby, gdzie jesteś, spytał,
Co mu odpowiedzieć?
Dać mu złoty mój pierścionek
I nic nie powiedzieć...

A gdy spyta, czemu w izbie
Tak pustką wiatr miota?
Pokaż mu zgaszoną lampę
I rozwarte wrota...

Gdyby chciał coś wiedzieć o Twej
Ostatniej godzinie?
Powiedz, żem się uśmiechała,
Niech mu łza nie spłynie...

Piosnka III.

Zabili trzy małe dziewczynki,
By zajrzeć, co w sercach ich gości.

Pierwsze — pełne było błogości,
I gdzie ślady zostały posoki
Trzy żmije syczały trzy roki.

Drugie — pełne znów łagodności,
I gdzie ślady zostały posoki,
Troje jagniąt się pasło trzy roki.

Trzecie — pełne znów było żałości,
I gdzie ślady zostały posoki,
Trzech aniołów czuwało trzy roki...

Z cyklu „Quinze Chansons".

(Tłom. Witmir)

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

31)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

— A skąd wam ten nieboszczyk na myśli stanął? — spytał.

— Żywie! żywie!.. wybełkotał wojewoda—i ręce obie na ramiona Szymkowe kładąc a twarz ku jego twarzy zbliżając, mówił dalej, wyrazy rwąc: Ro-zu-miesz teraz? rozumiesz, że ten żmij i tam się wślizgnął i... wygnał mnie z serca Maryny!.. Poznałem go, widziałem, jak z bramy wylatał... jej widmo, strach mój niepokonany!

— Przywidzenie, wojewodzeńku — przywidzenie!

— Głupiś!

— Bez poufałości, tylko bez poufałości!

— Spytany szlachcic jakiś, nie czyje inne lecz jego nazwisko wymienił — ciągnął wojewoda. Zaczerniało mi ono i na tablicy bramy wjazdowej, choć białą kredą je wypisał. Teraz rozumiesz? rozumiesz już... wszystko? dygotał Włodek — —

— Niby to, że Jasieńca ponad ciebie, wojewodzeńku, przeniosła?

— Tak-tak-tak!..

— Ależ to głupia niewiasta wojewodzeńku.

— A patrz, co ze mną zrobiła? Sto lat mi włożyła na barki, łeb pochyliła ku ziemi, odjęła wszelką moc... O! nie myśl, że w pieszczot słodyczach... Ba!.. Gdyby tak było, nie gniew by mną miotał bezsilny, lecz miałbym miły sen z wyczerpania do dnia rozkoszy!.. Teraz... Słuchaj!..

Tu oczy wojewody błysnęły jak u psa wściekłego.

— Słuchaj! powtórzył — — Nie przekro-

czyć mi już progów pilickiego zamku—lecz... i tamtemu... tam... nie wejść!

Zaczął oddychać ciężko, jakby zła chrypka dławiła krtań, że Szymek wina kielich podsunąć musiał.

— Napij się, wojewodzeńku—a tchnij!— prosił Szymek.

— Zemsta dziś moim oddechem — wyszeptał wojewoda.

Pogrążył się w krześle i zapadł w sen jakiś, choć oczy miał otwarte.

Szymek przemówił raz i drugi, lecz wojewoda nie odpowiadał. Zmarszczone czoło, rozdęte nozdrza, zacięte usta, choć poruszające się nerwowo — mówiły o walce, jaką wiódł w głębi swej duszy. Napróżno Szymek odezwał się raz jeszcze — pan Włodek milczał. Ryć zrozumiał, że zbyteczny w tej chwili był. Zostawił więc pana samego i na palcach wyniósł się z izby.

Jak fale wzburzone a mętne, rozmaite myśli przesuwały się przez mózg wojewody. Ze wszystkich zaś gnębiła go najbardziej jedna: to poczucie starości. Jak ono przyszło nagle! jak straszliwie zawładnęło umysłem!.. Okropne widmo, nieprzeczuwane dotąd, dotąd niedostrzeżone!..

Ogarnia go strach — —

Czuje, że się już nie oswobodzi z pod tego brzemienia. W uszach mu dzwonią słowa Maryny o grzechu, o winie wspólnej, o zapomnieniu, o chorej małżonce. Teraz, dopiero teraz mówi o tem, gdy piękna twarz Jasieńca błysnęła przed nią!..

Z warg zaciśniętych zgrzyt wypadł— —

Przypomina sobie, jak runął na klęczki i chciał się poczołgać ku Marynie; litości żebrząc...

Był śmieszny! musiał być śmieszny, w czerwieni szat pełzający po cegłach zniszczonej podłogi.

Mózg krew zalała — —

Nie przestąpić mu już progów mieszkania Maryny... Zabiłby go śmiech ścian małej zbrojowni.

Chwila, o której się nic nie wie. Chwila zamętu pojęć i utraty świadomości—chwila tylko...

Myśli pana wojewody nasunęło się epitafjum, wyryte już na czarnym marmurze— i jakiś żar spalił policzki — —

Po ciele dreszcz przeszedł—przed myślą własną strach — —

Grobowym chłodem powiały mury zamku—duch samotności do izb wstąpił i niby gospodarz rozkłada się w komnatach.

Widzi go: starzec w łachmanach podartych z dwoma bielmami na oczach. Stąpa cicho, przechodzi tu i tam, nie mogąc nigdzie spoczynku znaleść. Za nim pył i przed nim się pył sypie. Stanął po środku izby i ręce załamał. Biedny, w opuszczeniu i samotności takiej!..

Wojewoda przetarł powieki —

Widmo zniknęło...

Nie! on je wchłonął w siebie wraz z tymi osypującymi się pyłami, z tem pragnieniem spokoju, z tą żądzą spoczynku.

Nagle posłyszał ciche, bardzo ciche niby rytmiczne uderzenie zegara.

Wytężył słuch — —

To w starym gdzieś sprzęcie kołotek pracuje, a jemu się zdało, że bije serce ludzkie.

Cisza—i ogromny, ogromny smutek!..

Nigdy nie czuł takiego osamotnienia, jak dzisiaj, a kołatanie rytmiczne tego robaczka drzewnego, niby groźne: *memento*! doń przemawia. Nie zastąpi ono uderzeń zegara ciepłej piersi ludzkiej, której potrzebę nagle uczuł.

Obejrzał się — —

Pustka!

Ryć się usunął, żadnemu z dworzan bez opowiedzenia się wejść nie wolno.

Jak w latarni czarnoksięskiej, tak w duszy pana wojewody coraz inne, coraz wyrazistsze przesuwają się obrazy; światy marzeń, pragnień i żądz, dawne boje i nie boje, miłości i nienawiści, poselstwa do panów zagranicznych, i ona wyprawa sławna na Węgry, kiedy to ino Polska króla swojego dawała. Młodym był w on czas a pełen sił i marzeń orlich. Nie było ust dziewiczych, któreby nieucałowane, odbiegły od niego; nie było szabli rycerskiej, która by się oparła cięciom jego szabli. I tak minęły pierwsze młodości lata na kochaniu, niespaniu i trzaskowicy mieczów. Król wdzięczny, ojczyzna wdzięczna nieżałowali mu dóbr i zaszczytów. Wszystko się stawało wedle jego woli i zachcianek. Zatarg z panem Smoleńskim jego wygraną się skończył, odsadził i Jasieńca od pięknej Miechowicianki... jeno, że ta mu zachorzała po ślubie zaraz i upragnionego spadkobiercy prastaremu rodowi Toporów dać nie mogła. A później... później, Maryna i... znów ten Jasieniec!..

— Żmij!.. syknął pan wojewoda... Ale nie minie go pomsta, choć by mi katu łeb dać przyszło!..

Ta myśl, jedynie ta myśl tylko wypełniała dziś duszę Włodkową, w której, jak w pustej komnacie, wiatr chodził i wydmuchiwał uczucia inne. Mimo to czuł próżnię, szaloną próżnię!.. Zemsta nie syci, nie nakarmia, lecz jako rdza przejada stal najhartowniejszą, jak potwór żarłoczny żre wszystko a czuje głód wieczysty. Kromie niej nic mu już dzisiaj nie pozostało w życiu.

Znów ciche, rytmiczne, zegarowe dało się słyszeć puknięcie.

Wojewoda siwy łeb podniósł i na drzwi się wypatrzył, skąd ono nieśmiałe kołatanie dochodziło. Dawniej, pozwalał li bo, nie pozwalał wchodzić do siebie, zawszeć znak życia dawał, woli swej wyraz. Dziś ani dłoni nie podniósł, ani głosu z ściśniętej krtani nie wydał. Obojętne mu było: wejdzie-li kto, czy od drzwi się zawróci?.. Snadź ono milczenie ośmieliło kołatającego, bo drzwi poruszyły się cicho i przez wązką szparę czyjeś błękitne zajrzało oko.

Wojewoda się nie ruszył —

Drzwi otworzyły się szerzej... Na progu stanął wahający się Przemko.

Z pod brwi obwisłych spojrzały siwe oczy wojewody na młodzianka. Ale nie było żadnego rozkazu: ma-li wejść, czy nie!.. Przemko nie wiedział sam jak ma uczynić. Nie uszło jednak jego uwagi zgnębienie, rysujące się na twarzy pana i dziwne posunięcie się w latach. Bał się kroku postąpić, by nie narazić się na gniew, czuł jednak, że ktobądź być powinien przy jegomościu, owładniętym nagłą chorobą jakąś. Przestąpił więc próg, drzwi przymknął i stanął w oddaleniu pewnem, na rozkaz czekając.

Wojewoda się nie ruszył, tylko siwemi, zmętniałemi oczyma przeszedł powoli wdłuż całej postaci Przemkowej. Wzrok jego zatrzymał się na pięknej twarzy chłopca, wzrok pytający, zagadkowy a tak dziwny wyrazem smutku, że Przemka niepokój ogarnął. Nie wiedział, co z sobą miał robić. Ni cofnąć się, ni naprzód iść. Wzrok wojewody na uwięzi go trzymał. Oczywiście nie wiedział nic o zajściu pilickim, choć pomiędzy dworzany już głucha wieść obiegała o dziwnem spotkaniu się pana z rycerzem jakimś, którego, nieznajomy szlachcic, spytany przez wojewodę, Jasieńcem nazwał. Wiadomość ona przebiegła mimo ucha Przemkowego, jak strzał pusty. Ano, nie dziś to jutro spotkanie się ono nastąpić mogło. Nie za górami jest Smoleń a ludzie gęby od gadania mają. (d. c. n.)



TEATR NOWY.

Pod umiejętną reżyserją p. Marcelego Trapszy, wystawił teatr Nowy dowcipną farsę francuską p. Pawła Gavault'a p. t. „Szczęście pod ręką". Farsy nie powinno się streszczać w sprawozdaniu, ponieważ w ten sposób pozbawia się większej części przyjemności przyszłego widza; przyjemność bowiem słuchania i oglądania farsy głównie polega na wyskakiwaniu niespodzianek z tego miłego pudełka Pandory, które się nazywa sceną.

To też ograniczymy się do stwierdzenia, że „Szczęście pod ręką" należy do fars kulturalnych, inteligentnych (jeżeli tak można powiedzieć) i do granych znakomicie.

Gasiński z Fertnerem są królami farsy warszawskiej — tego nie trzeba powtarzać — i obaj grają w „Szczęściu pod ręką".



Jerzy Leszczyński.

Nadto bierze gościnny udział w tej krotochwili młody artysta o niepospolitym talencie, p. Jerzy Leszczyński, ulubieniec do wczoraj publiczności krakowskiej, gorąco oklaskiwany dzisiaj w teatrze Nowym, jedna z najświetniejszych sił teatru Schifmana jutro. Dziwić się wypada, że p. Leszczyńskiego nie zaanektował teatr rządowy warszawski.

Pozatem w ostatniej premierze przy ul. Królewskiej brały udział: nieporównana p. Leszczyńska, pełna pikanterji p. Mrozińska, z powodzeniem goszcząca przejazdem przez Warszawę (z Krakowa) p. Renard, p. Pawłowska i p.p. Trapszo i Knapczyński. *Gr.*

TEATR MAŁY.

Ku uczczeniu pamięci Bolesława Prusa teatr Mały wysta-

wił „Placówkę", sztukę w pięciu obrazach, osnutą na tle słynnej powieści Aleksandra Głowackiego. Przeróbki dokonali p.p. J. Popławski i S. Staszewski.

Aczkolwiek sceniczna „Placówka" niema dramatycznej akcji, aczkolwiek zasadniczo pozbawiona jest nerwu teatralnego, to jednak pojedyńcze sceny rodzajowe tak są plastyczne, malownicze i tchną tak silnie swojskością, że powieść ta ma rację bytu i w dzisiejszym jej kształcie scenicznym. Zwłaszcza, że artyści teatru Małego uczynili wszystko, aby „Placówka" na ich niewielkiej scenie wypadła dobrze.

Świetny typ chłopa na dziesięciu morgach "gospodarza", dał p. Józef Popławski. Był w nim chłopski upór, zaciętość, było w nim owo czysto polskie chłopskie „zastanowienie", a scenę upijania się przy zakupywaniu krowy od sołtysa, narysował z pierwszorzędną maestrją. Znakomicie również oddał chłopską nieufność, gdy Ślimak rozmawia z niemieckimi kolonistami, którzy chcą od niego kupić zagrodę z „grontem". Jak wszyscy dobrze pamiętamy, kolonizacyjne zabiegi Hammerów rozbijają się o „strzymałość" Ślimaka. Niemcy wracają skąd przyszli.

Żonę kochającego ziemię ojczystą Ślimaka, jego kobietę, Jagnę, grała p. Podgórska, równie jak p. Popławski, gość teatru Małego. Nie była to gra tak wystudjowana, bogata w tyle szczegółów świetnie zaobserwowanych, ale była to



„Salomé". Jan Chrzciciel.

gra poprawna i staranna zdolnej artystki, poważnie traktującej swój piękny zawód.

Na czoło postaci drugoplanowych wysunął się p. Bogusławski w roli parobczaka, Maćka. Niezłym szynkarzem wiejskim był p. Świeściak. Kolonistów z powodzeniem wcielali p. p. Ryszkowski i Skąpski, reszta stanowiła tło.

Sztukę gorąco oklaskiwano.

„Salomé" po francusku.

Sławny jednoaktowy dramat Oskara Wilde'a, najwykwintniejszego z poetów angielskich, zgasłego w infamji i nędzy przed dziesięciu laty w Paryżu, *„Salomé"* został wystawiony teraz w paryskim teatrze Chatelet, w przekładzie na język francuski. Dyrekcja nie żałowała kosztów, dbając o możliwie najefektowniejsze zaprezentowanie najukochańszego dzieła Wilde'a. U nas „Salomé" jest niecenzuralna. Nie wolno wystawiać w Polsce i w Rosji sztuk, których bohaterami są święci, a w „Salomé" główną figurą dramatyczną, około której toczy się akcja, to Jan Chrzciciel.

„Salomè" angielskiego dramatopisarza, dwukrotnie przełożona na język polski, znana jest u nas powszechnie. Zwłaszcza piękny przekład Jadwigi Przybyszewskiej, żony Stanisława, został wysoko oceniony przez krytykę. Dla tych, którzy „Salomé" Wilde'owskiej nie znają, powiemy, że dramat ten kończy się zamordowaniem córki Herodjady a pasierbicy Heroda, na rozkaz tego ostatniego. Gdy tetrarcha Herod ujrzał, że Salomé, tańcząc taniec siedmiu zasłon ze złotą misą w rękach, pochyla się nad misą i całuje ściętą głowę św. Jana, zapala się gniewem i woła do straży: „Zabić tę kobietę". Salomé pada pod ciosami.

Przedstawienie paryskie „Salomé" Oskara Wilde'a należało do sensacji sezonu. W tem niezwykłem przedstawieniu wzięli udział najgłośniejsi artyści. Św. Jana Chrzciciela grał p. Roger Karl, Heroda — sławny de Max, rolę tytułową wykonała modna dziś w stolicy świata Ida Rubinstein. Wspaniałe kostjumy aktorów pokazują załączone fotografje. Oskar Wilde marzył wprawdzie, aby Salomé była ubrana wyłącznie w klejnoty, pierścienie, bransolety, kolczyki, djademy, łańcuchy, nabiodrniki i więcej w nic, ale to się już nie dało zrobić. *Gr.*



Teatr Mały. „Placówka".

Polityka

Wieść o skonie cesarza japońskiego Mutsuhito w całym świecie głośnem rozbrzmiała echem. Stwierdzono jednomyślnie, że był to wielki monarcha i wielki reformator, po rozważeniu zaś całej jego działalności okazało się, że największem jego dziełem było wprowadzenie Japonji do „koncertu“ wielkich mocarstw, a największą jego reformą, nadanie rządzonemu przezeń krajowi konstytucji i urządzeń na modłę europejską, oraz stworzenie wielkiej armji japońskiej, mogącej śmiało mierzyć się z armjami europejskiemi.

Pełne entuzjazmu zdania o zmarłym monarsze japońskim brzmiały jednak jakoś dziwnie. Widocznem było, że czegoś brak w tych wieńcach pochwały, na trumnie Mutsuhity składanych. A brak to był poważny. Zapomniano dodać, że wielkość tego monarchy wyrosła na wielkości ludu, któremu panował.

A może nie zapomniano. Może, po prostu nie chciano tego powiedzieć.

Przez długi szereg lat opinja europejska przyzwyczaiła się uważać japończyków za jakieś istoty niższego rzędu, za lud jakiś — może nie dziki, nie barbarzyński, ale w każdym razie nie mający prawa do nazwy „ludu cywilizowanego“ w europejskiem pojęciu tego wyrazu.

Tymczasem bliższe zetknięcie się z tym ludem okazało, że potrafi on wszystko to samo, czego dokazać umie „cywilizowany“ europejczyk, ale potrafi



„Salomé“ — król Herod (de Max).



„Salomé“ — Ida Rubinstein w roli tytułowej.

też wiele innych rzeczy, przeciętnemu europejczykowi niedostępnych. I okazało się, że cywilizacja, kultura japońska pod wielu względami wyższą jest od europejskiej.

Przyznać to ludowi, który w opinji europejskiej przez wieki całe uważano za coś niewiele wyższego od małpy,—to rzecz trudna. Na takie przyznanie łatwiej zdobyłby się... japończyk względem europejczyka.

Więc gdy zdarzyła się chwila, w której nad tem zastanowić się wypadało, pominięto milczeniem wielkość ludu japońskiego, a za to jednozgodnie uznano, że Mutsuhito był wielkim reformatorem i wielkim monarchą.



WOJNA AEROPLANÓW: armatki, bomby, rewolwery, haki w gorączkowej robocie.

Europejczyk przeciętny łatwiej zgodzi się gdy mu obok postaci, wyrosłych na „wielkie" w jego umyśle, obok Aleksandra, Napoleona i innych podobnych, umieszczono japońskiego Mutsuhitę, aniżeli gdyby mu powiedziano: ten lud zamorski, ośmieszany przez długie lata w książce i na scenie, nie jest wcale niższy od „największego" z narodów europejskich, choćby nawet od tego, który w swej dumie sam siebie z lubością nazywa „une grande nation".



Nowy mikado.

A na czem polega istotna wielkość ludu japońskiego, wielkość, która młodzieńcowi pozwoliła w mgnieniu oka „zreformować" ten naród (bo Mutsuhito był młodzieńcem, gdy tej reformy dokonał)—warto byłoby poznać. Pouczająca byłaby to książka. A niema jej w żadnym z języków europejskich. Jest za to wiele takich, w których wyraźnie odmalowano to, co w oczach europejczyka za śmieszne uchodzić może.

Bo europejczyk lubi się śmiać... cudzym kosztem, chociaż ten koszt nieraz bywał duży, w formie przykrych niespodzianek.

Jeden z podróżników po Japonji, który mniej zajmował się jej śmiesznostkami, lecz więcej badał jej lud, jego zalety, poglądy, dążenia, zapowiada nadejście chwili, kiedy Japonja zapanuje nad całą Azją, a kto wie, czy wtedy nie pokusi się o zapanowanie nad całym światem.

Że dla Europy panowanie to nie byłoby przyjemne, to rzecz niewątpliwa. A od tej nieprzyjemności nie uchroni szerzenie dziś nawet jeszcze błędnych pojęć i poglądów o Japonji, a do tych należy opowiadanie, jakoby cesarz Mutsuhito niby różdżką czarodziejską „zreformował" Japonję i uczynił ją wielkiem mocarstwem.

Cesarz Mutsuhito, rozumiejąc, iż Japonja, prędzej czy później musi stanąć oko w oko z Europą, dał narodowi swemu zewnętrzną formę ustroju europejskiego i—co ważniejsza, dał mu w rękę tę samą broń, którą Europa przez wieki wyższość swą okazywała nad Japonją.



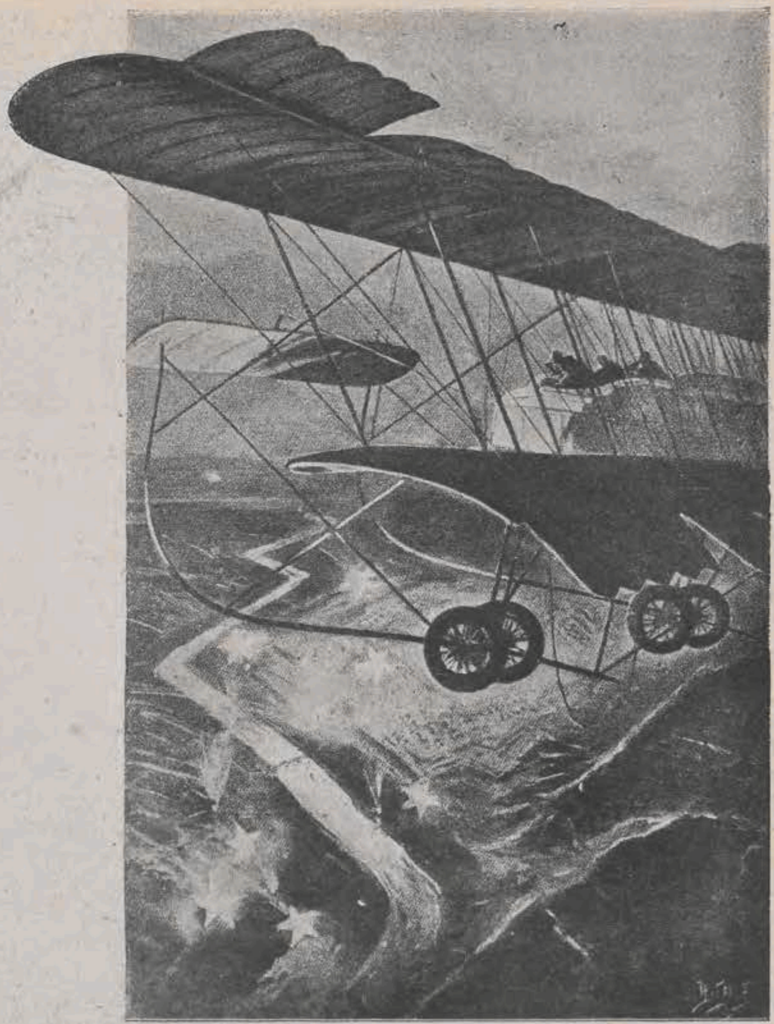
Żona nowego mikada.

Ale pamiętać trzeba, że do europejskiego ustroju państwowego japończycy przystosowali się w mgnieniu oka lepiej od europejczyków i dowiedli, że z europejską bronią nie gorzej od europejczyków obchodzić się potrafią.

Ta „reforma“ nie przerobiła jednak japończyków na europejczyków, i nigdy ich nieprzerobi.

Tak samo nie przerobił Turcji wprowadzony przed trzema laty ustrój parlamentarny europejski. Państwo to chyli się coraz bardziej ku upadkowi. Zamęt trwa tam bezustannie, a świeżo powiększyło go rozwiązanie parlamentu.

„Chorym człowiekiem“ nazywają Turcję. Ciężka to choroba. Rozmaici lekarze polityczni szukają na nią leku, lecz go znaleść nie mogą. *h. m.*



Rakietowy sposób oświetlania aeroplanów z ziemi, wynaleziony przez francuzów

„Człowiek przyszłości“.

Wielkie wynalazki XIX wieku nietylko wywołały ogromny przewrót w nauce, przemyśle i w ogóle w życiu społeczno-ekonomicznem, lecz również wpłynęły w dużej mierze na indywidualną zależność naszą od całego szeregu nowoczesnych urządzeń, dążących do ułatwienia nam bytowania.

W niedalekiej już przyszłości djalog poniższy, prowadzony pomiędzy dwoma świeżo poznanymi ludźmi nie będzie wcale humorystycznym, za jaki dziś jeszcze od biedy uchodzić może:

— Umiesz pan pisać?

— Nie, używam maszyny do pisania.

— Umiesz pan śpiewać?

— Nie, korzystam z fonografu.

— Umiesz pan grać na jakimkolwiek instrumencie muzycznym?



„Titanic“. Opuszczanie łodzi na morze.

— Nie, używam fortepianu automatycznego.

— Umiesz pan szyć?

— Nie, mam elektryczną maszynę do szycia.

— Umiesz pan rysować lub malować?

— Nie, mam aparat fotograficzny.

— Umiesz pan chodzić?

— Nie, jeżdżę tramwajem elektrycznym, koleją, rowerem motorowym, automobilem lub aeroplanem.

— Czy pan widzisz?

— Nie, używam szkieł.

— Czy pan słyszysz?

— Nie, używam trąbki akustycznej.

— Czy pan trawisz?

— Nie, używam środków dygestywnych.

— Czy pan możesz sypiać?

— Nie, używam narkotyków.

— Czy pan umiesz w jakiejkolwiek sprawie politycznej, artystycznej, literackiej lub innej,

wypowiedzieć swoje własne, niezależne zdanie?

— Nie, należę do zorganizowanej partji politycznej i stosuję swoje przekonania do przekonań przywódców partyjnych. Co do literatury i sztuki czerpię swoje wrażenia z gazet, czasopism, a zresztą idę za opinją publiczną.

— Czy pan umiesz oddychać?

— Nie, używam aparatu respiracyjnego.

. . . .

. . . .

A może ten „człowiek przyszłości" jest już poniekąd człowiekiem teraźniejszości?

Bądź co bądź — do pewnego stopnia.

S. C.

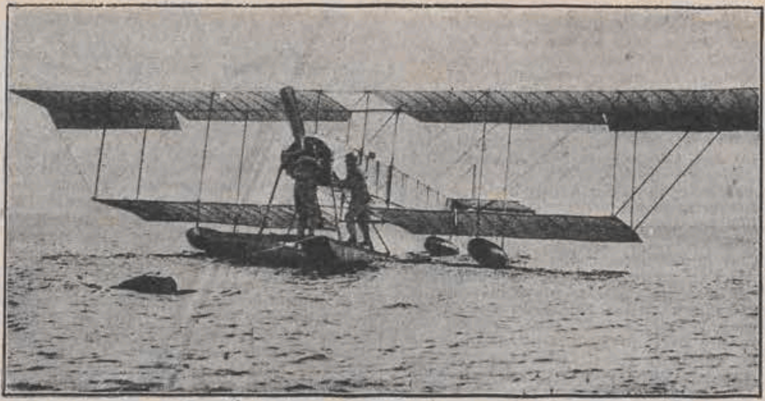
Po bratersku!

Wśród nieustannie notowanych przez pisma nieporozumień i niesnasek pomiędzy chlebodawcami a robotnikami, jak ożywcza oaza wśród piaszczystej pustyni — przedstawia się nam fakt, niestety dość rzadki w naszych stosunkach przemysłowo-fabrycznych, fakt patryjarchalnego niemal stosunku, istniejącego w znanej fabryce cukrów p. Stanisława Pruszkowskiego.

W niedzielę dn. 28 lipca r. b. p.p. Pruszkowscy podejmowali cały swój liczny, bo około 200 osób liczący, personel fabryczny, z serdecznością iście staropolską na zabawie, urządzonej w lesie pod Pilawą.

Rano tego dnia wyjechano koleją nadwiślańską w pięciu specjalnie zarezerwowanych wagonach; cały dzień spędzono na ożywionej zabawie, urozmaiconej grami ruchowemi dla robotników, a dla płci pięknej „koszami szczęścia" oczywiście bezpłatnymi, z pięknemi upominkami. Skromny, ale obfity poczęstunek i szczera gościnność p.p. Pruszkowskich zjednała powszechną wdzięczność licznej rzeszy ich pracowników, którzy pokrzepieni wypoczynkiem na świeżem powietrzu i szlachetną myślą swych chlebodawców—z tem większą ochotą powrócili do pracy.

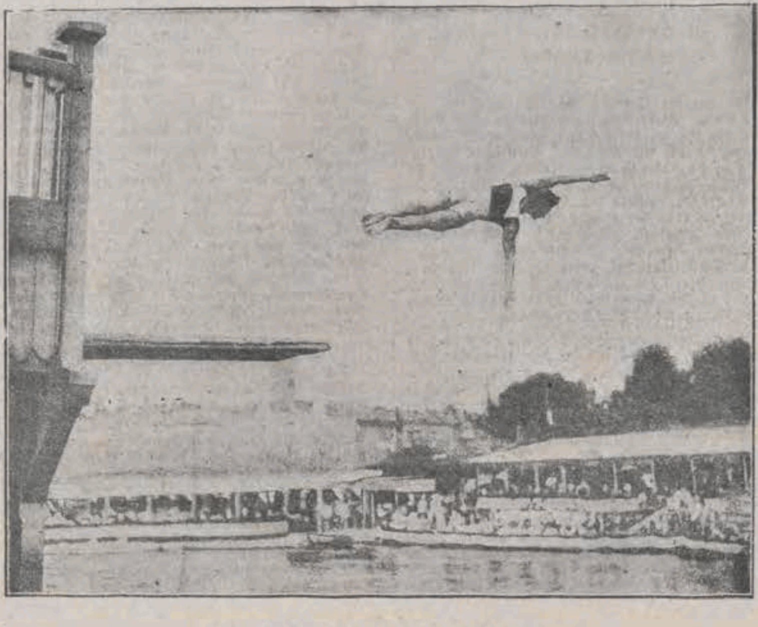
Ten drobny fakt, ilustrujący jednak świetnie wzorowy stosunek, istniejący w fabryce p. Pruszkowskiego, pomiędzy wła-



Wspaniały wynalazek hydroplanu.



Piramida gimnastyczna.



Konkursy pływackie w Hamburgu.

ścicielem a jego współpracownikami, godzien jest jak najszerszego naśladownictwa, co niewątpliwie przyczyniłoby się do nawiązania serdeczniejszych węzłów, łączących pracodawców z pracobiercami.

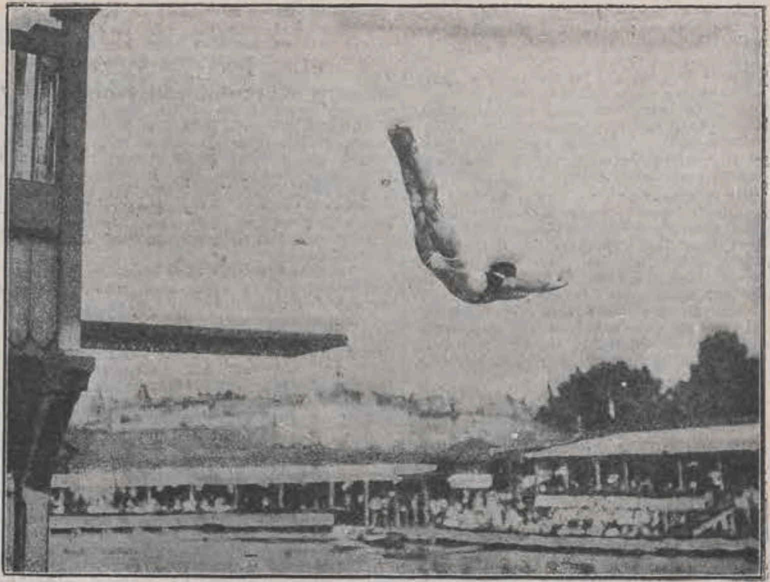
Zaznaczyć wypada, że w fabryce p. Pruszkowskiego, istniejącej od 1890 r., a będącej w posiadaniu obecnego właściciela od 1907 r., wszyscy robotnicy korzystają z corocznych urlopów płatnych.

Wodny aeroplan.

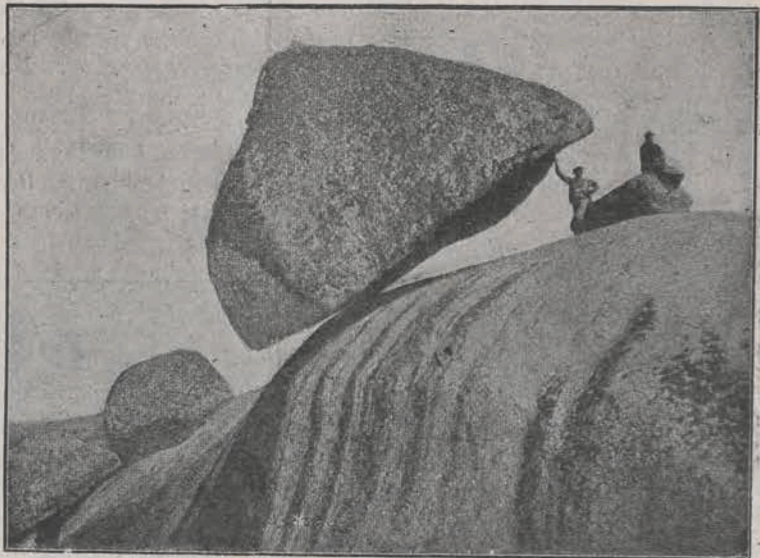
Wynalazek anglika, komendanta Jamesona, polegający na tem, że upadek aeroplanu w morze przestaje być groźny dla pilota. Aparat upadłszy na wodę, nie tonie, dzięki specjalnemu, łódkowemu urządzeniu spo du. Gdyby Piotr Rozłucki, bohater ostatniej powieści Żeromskiego „Uroda życia", leciał na aeroplanie tego wynalazku, nie straciłby aparatu i nie walczył by z falami.

Święto piwa.

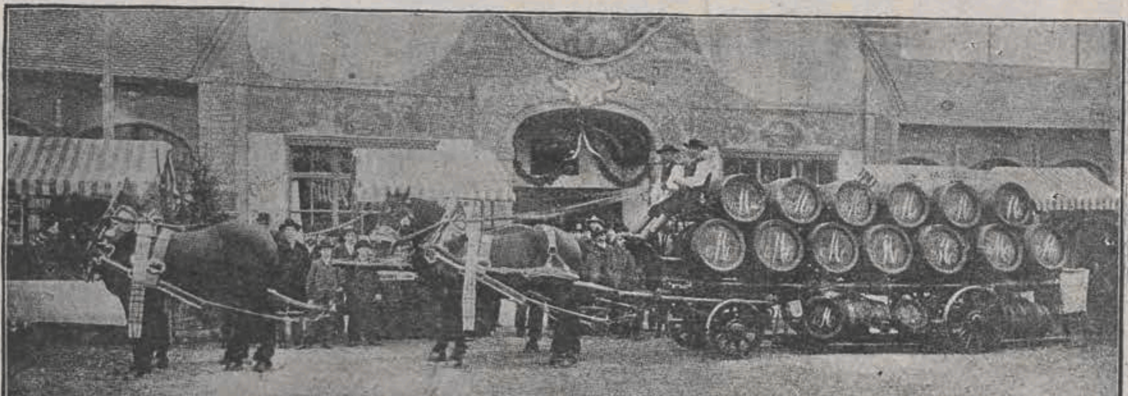
Od kilku tygodni Monachjum obchodzi uroczystość piwną. Całe miasto jest na nogach, panuje równość i braterstwo pod godłem pienistego piwa, które przelewa się przez tysiące gardeł i płynie nieomal w rynsztokach. Na ulicach rozlegają się piosenki o piwie niemieckich Anakreontów.



Konkursy pływackie w Hamburgu.



Cud świata: argentyńska skała, chwiejąca się za lada dotknięciem ręki; skała ta zniknęła.



W tej chwili tyle jest piwa w Monachjum, że Hohenzollernowie mogliby po nim przejechać na wszystkich swoich pancernikach, i nawet mogliby w niem utonąć.

Nowe urządzenia Warszawskiego biura adresowego.

Niejeden z czytelników naszych dobrze pamięta z jaką to trudnością, niewygodą i stratą czasu do niedawna jeszcze połączone było zasięgnięcie wiadomości w biurze adresowym. Nieraz po półgodzinnem lub i dłuższem czekaniu odbieraliśmy kartkę z lakoniczną, a niestety, nic nie mówiącą odpowiedzią biura adresowego, że adresu danej osoby nie sposób znaleźć. Poza tem warunki pracy urzędników tego wydziału były fatalne, kurz nieustannie wydzielający się z przewracanych ręcznie kartek, osadzonych na registratorach łukowych, wysiłek fizyczny tego nieustannego przewracania kartek meldunkowych, wyczerpywał bardzo urzędników i sprowadzał wydajność ich pracy do minimum.

Długoletni naczelnik wydziału adresowego p. radca K. Liebert, przez dłuższy czas pracował nad obmyśleniem reformy, dążącej z jednej strony do możliwie jaknajlepszej obsługi publiczności, z drugiej—do ułatwienia pracy podwładnym swym urzędnikom. Dzięki tej usilnej pracy p. Lieberta, dziś Warszawskie biuro adresowe posiada tak znakomite urządzenie, jakiego żadna z instytucji tego rodzaju, ani w Cesarstwie, ani zagranicą jeszcze niema. Mianowicie p. radca Liebert obmyślił specjalne registratory ruchome, w formie dużych kół, napełnionych w przegródkach kartkami meldunkowemi. Koła te lekko obracają się i dają się zatrzymywać na odpowiedniej przegródce danej litery.

Ogromna ekonomja czasu przy odszukiwaniu danej kartki meldunkowej oraz ekonomja miejsca, zajmowanego przez kartki meldunkowe, których w różnych kombinacjach obecnie jest około 2000000, jest sama przez się już znakomitym i pełnym doniosłości wynalazkiem. Registratorów takich ustawiono w wielkiej sali biura adresowego trzydzieści sztuk, a każdy z nich zawierać może do 85000 kartek. Wynaleziony nowy system registratorów p. Lieberta, zastosowany w Warszawskiem biurze adresowem pod osobistym kierunkiem wynalazcy, umożliwia obecnie osobisty kontakt publiczności z urzędnikami biura, wyszukującymi żądanego adresu, którzy w razie jakiejś wątpliwości lub trudności w wyszukaniu odpowiedniej kartki meldunkowej, mogą osobiście otrzymywać bliższe objaśnienia od publiczności, co niezmiernie ułatwia wyszukiwanie adresów osób, noszących jednobrzmiące imiona i nazwiska.

Obecnie interesant, poszukujący adresu danej osoby, nabywszy kartkę w pierwszej sali wchodzi do głównej sali i zwraca się do urzędnika przy registratorze pod odpowiednią literą, od której zaczyna się nazwisko osoby poszukiwanej i w przeciągu 10, a najwyżej 15 minut, zależnie od ilości inte-



Sala główna biura adresowego w Warszawie. *Fotogr. „Świteź".*

PO BRATERSKU.



Grupa uczestników zabawy w Pilawie. *fotogr. „Świteź“.*

resantów, przy danym registratorze, otrzymuje odpowiedź.

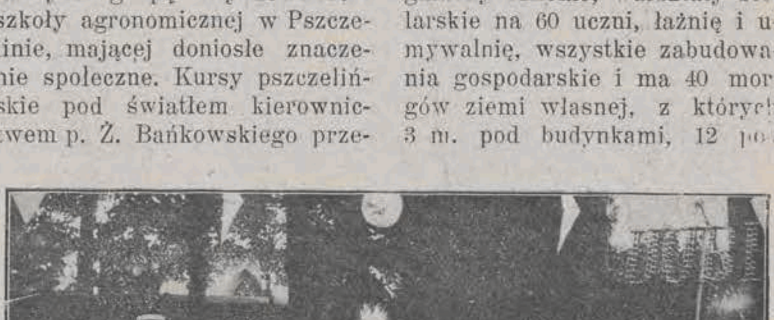
Słyszeliśmy, że w wielu większych miastach Cesarstwa a nawet i zagranicy wkrótce mają być wprowadzone registratory systemu p. Lieberta. Registratory p. Lieberta świetnie nadawać się mogą między innemi w wielkich bibljotekach, dla przechowywania kartek katalogów ruchomych, na co zwracamy szczególną uwagę zarządów bibljotecznych, jak również w wielkich bankach i domach handlowych, dla przechowywania różnych dokumentów, listów i aktów.

Na dochód letniska.

W zeszły czwartek w uroczym ogrodzie „Bagatela“, odbyła się zabawa na dochód budowy letniska dla Tow. Pracowników Handlowych m. Warszawy. Piękna pogoda i urozmaicony program przedstawienia w połączeniu z sympatycznym celem zgromadziły w Bagateli tysiączne tłumy. Koncert orkiestry operowej, jednoaktówka „Amator muzyki“, stara, ale jara operetka Offenbacha „Skrzypki czarodziejskie“ oraz cały szereg oddzielnych atrakcji estradowych wypełniły ten bogaty program. Lecz na specjalną wzmiankę zasługuje prześliczne divertissement baletowe w układzie p. Michała Kuleszy, które wzbudziło powszechne zadowolenie. W pięknym i pomysłowym układzie młode siły naszego baletu odtańczyły „Taniec rybaczek“, „Taniec Wschodu“, Polkę z wstążkami, Mazura, galop, zakończone apoteozą. Część kabaretowa, jak zwykle, bardzo urozmaicona. Zabawa skończyła się około północy i może być uważana za jedną z więcej udatnych zabaw w bieżącym karnawale letnim. Głównymi organizatorami i gospadarzami tej ze wszechmiar udanej zabawy byli pp. Józef Karasiński red. „Handlowca“, Ant. Żelisławski, Ludwik Karasiński i inni.

Pszczelin.

Przedstawiamy czytelnikom naszym grupę wychowańców szkoły agronomicznej w Pszczelinie, mającej doniosłe znaczenie społeczne. Kursy pszczelińskie pod światłem kierownictwem p. Ż. Bańkowskiego przeznaczone dla synów drobnych rolników włościan, którzy mają w przyszłości na własnej zagrodzie w wiosce rodzinnej pracować. Kursy te w 1900 r. założone zostały przez Tow. Pszczelniczo-Ogrodnicze w Warszawie, które i do tej pory prowadzi kursy i opiekuje się nimi. Na ten cel Tow. zakupiło w r. 1900 — 10 morgów ziemi z majątku Otrębusy. Początkowo kursy obliczone były na nieliczną gromadkę wychowańców, około 20. Przez 12 lat istnienia Pszczelina dzięki opiece troskliwej ze strony Tow. i dzięki ofiarności publicznej znacznie się on rozwinął. Obecnie Pszczelin posiada 2 gmachy szkolne, warsztaty stolarskie na 60 uczni, łaźnię i umywalnię, wszystkie zabudowania gospodarskie i ma 40 morgów ziemi własnej, z których 3 m. pod budynkami, 12 pod



BAGATELA: Na dochód letniska. *fotogr. „Świteź“.*

sadem i ogrodem warzywnym, gdzie prowadzi się szkółki drzew owocowych, plantacje wikliny, hoduje się wszelkie odmiany warzyw. Kompletny inwentarz żywy i martwy w zastosowaniu do praktyki rolniczej, ogrodniczej, pszczelniczej i stolarskiej. Pasieka składa się z 70 uli ramowych. Napływ kandydatów z każdym rokiem powiększa się i od lat paru Pszczelin nie może uwzględnić wszystkich zgłoszeń. Obecnie z trudnością pomieścić może 75 wychowańców i tyle co roku bywa przyjmowanych. Wychowańcy zaznajamiają się praktycznie w Pszczelinie z rolnictwem, hodowlą inwentarza, sadownictwem, warzywnictwem, pszczelnictwem, stolarstwem i koszykarstwem. Kurs 11 miesięczny. Od czasu swego istnienia Pszczelin wypuścił 500 z górą wychowańców, którzy obecnie nabyte umiejętności krzewią wśród drobnych rolników na wsi i przyczyniają się do postępu na polu rolnictwa. Wychowańcy przeważnie wracają do domu, część jednak z nich wykształciła się na ogrodników dobrych i pszczelarzy, część pracuje w zawodzie rolniczym po folwarkach. W tej chwili przeprowadza się drenowanie ogrodów i pól pszczelniczych, w r. b. wystawiona została wzorowa obora i stajnia. Do niedawna Pszczelin był jedyną tego rodzaju instytucją. Przed rokiem na wzór Pszczelina, otwarto kursy w Wałach pod Kutnem, jednocześnie też projektowane są w różnych okolicach kraju tego rodzaju kursy.

Z. W.



Portret kardynała Fiszera.

Przegląd prasy.

Z powodu śmierci kardynała Fiszera „Kurjer Poranny" zamieszcza świetny artykuł wstępny, z którego przytaczamy znamienniejsze wyjątki:

Śmierć arcybiskupa Kolonji kardynała Antoniego Fiszera, jest doniosłym wypadkiem politycznym, którego następstwa dadzą się niebawem odczuć także w życiu społecznem Niemiec dzisiejszych. Kardynał Fiszer z Kolonji i kardynał Kopp z Wrocławia—to dwa przeciwległe bieguny charakterów i kierunków myśli publicznej. Obaj ci ludzie stali na czele życia katolików niemieckich i starali się prowadzić je po drogach przez siebie wytkniętych. Różne to były drogi, to też z natury rzeczy w obozie katolickim Niemiec wytworzył się rozłam coraz widoczniejszy, który w ostatnich czasach przybrał charakter jawnej walki. Kardynała Koppa znają polacy zblizka i wiedzą jaka jest wartość duchowa tego hakatysty w purpurze, zajadłego wroga polskości, uniżonego sługi dworu berlińskiego i intryganta w Kurji Rzymskiej. Wiedzą też lepiej, niż wielki świat polityczny, co trzeba myśleć o szczerości jego dążeń do utrzymania harmonji pomiędzy religją i polityką i ślepego oddania się Rzymowi we wszystkich sprawach życia świeckiego i publicznego. Są zupełnie pewni, że to oddanie się nie wytrzymałoby żadnej cięższej próby i, że gdyby wrócić miały czasy walki pomiędzy Berlinem a Kurją Rzymską, prawowierny wrocławski kardynał znalazłby się prędko raczej po stronie Berlina niż Rzymu. A polityczny charakter



Wychowańcy szkoły pszczelniczo-ogrodniczej.

teraźniejszego Pontyfikatu pozwala jednak Koppowi liczyć na to, że uda mu się jeszcze długo utrzymać dzisiejszą harmonję, której jest we własnym interesię najtroskliwszym i najczulszym stróżem. Tę harmonję psuła oczywiście czasem Koppowi polityka centrum w parlamencie berlińskim, polityka stojąca często w opozycji przeciwko pruskim akcentom polityki niemieckiej, i jakkolwiek zawsze pełna szacunku i względów dla natchnień idących z Watykanu, to jednak oparta na samodzielności we wszystkich sprawach, w których interesy religji i Kościoła bezpośrednio nie były dotknięte.

Kardynał Fiszer, od dwudziestu czterech lat związany z Kolonją, od dziesięciu lat jej arcybiskup, należał do koła ludzi światłych i jasnych, wyróżniających się inteligencją i charakterem dalekich od fanatyzmu, niezależnych w zdaniu, noszących głowę dosyć wysoko wobec możnych tego świata a za to przystępnych dla szerokiego ogółu, gorąco przejmujących się sprawami natury publicznej i pragnących, aby duch chrześcijański przejawiał się w życiu politycznem Niemiec nie pod formą ciasnych i ślepych walk wyznaniowych, ale przez wpływ swojego idealnego ewangelicznego pierwiastka. Dokoła Fiszera zgromadziły się wszystkie wybitniejsze, z lepszego ulane duchowego kruszczu, postacie katolickiego świata Niemiec. Po jego stronie stanęły najwybitniejsze katolickie dzienniki. „Koloński kierunek“ na każdym kroku dbał o zaznaczenie, że partja centrum w parlamencie nie jest bynajmniej filją Watykanu, że jest swobodną partją obywateli niemieckich zgrupowanych dokoła wspólnie ułożonego programu politycznego, że odrzuca charakter ściśle wyznaniowy i wyznania katolickiego nie czyni nawet nieodzownym warunkiem przynależności do stronnictwa, że wreszcie nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności i solidarności z polityką czysto kościelną, do której uprawnieni są tylko biskupi, jako przedstawiciele Kurji Rzymskiej. Nietylko w zakresie polityki parlamentarnej „kierunek koloński“ zaznaczał swoją działalność. Rozszerzył ją także na zakres polityki społecznej. Pod jego natchnieniem wytworzyła się organizacja chrześcijańskich związków zawodowych, obejmujących nietylko katolickich ale i protestanckich robotników, pozostawiając daleko za sobą w tyle ściśle wyznaniowe katolickie związki, tworzone przez „kierunek berliński“.

Z tygodnia.

Elekci. Prezesami dyrekcji szczeg. Tow. Kred. Ziem, zostali wybrani w Radomiu—p. Maks. Skotnicki, w Łomży—p. Ant. Kuberski, w Suwałkach—p.T. Wolski i w Kaliszu — dr. Henr. Chrzanowski.

— Wybrani radcami Dyr. Szczeg. Tow. Kred. Ziem. w Płocku pp. T. Sieklucki i B. Zdziarski nie zostali zatwierdzeni przez władze, ich mandaty obejmą zastępcy: pp. Dekański i Mieczyński.

Z prawodawstwa. Ogłoszono nowe prawo o powinności wojskowej, wnoszące duże zmiany do obecnie obowiązujących przepisów z 1874 r.

— W Ministerjum Handlu opracowują nową ustawę przemysłu górniczego, której potrzebę wywołały ostatnie wypadki nad Leną.

Z polityki. Obiega pogłoska o zawarciu porozumienia serbsko-bulgarskiego i bulgarsko-greckiego, które zapobiec może ewentualnym powikłaniom na Bałkanach.

— W kołach miarodajnych twierdzą, że podczas pobytu w Petersburgu ks. Katsury, który przerwał swoją podróż z powodu śmierci Mikada, — zawarto traktat rosyjsko-japoński.

Wystawy. Komitet wystawy rzemieślniczo-przemysłowej w Łodzi wniósł podanie do władz o przedłużenie terminu wystawy do dn. 17 Października r. b.

— W Petersburgu w Listopadzie r. b. urządzoną będzie wystawa Międzynarodowa Artystyczno - Przemysłowa p. n. „Swiat mody“. Na wystawie tej będzie oddział polski, na reprezenta którego zaproszono p. Jana Kamieńskiego, starszego zgromadzenia szewców w Warszawie.

Z życia. W zeszłym tygodniu w War. Sądzie Okręgowym sądzono sprawę 13-letniego chłopca, oskarżonego o zabójstwo rówieśnika. Sąd uwzględniając młody wiek przestępcy, postanowił oddać go pod odpowiedzialny dozór ojca

— Na kolei Wiedeńskiej w ciągu ostatnich 3 miesięcy usunięto ze służby 25 urzędników polaków, przyjęto zaś w tym okresie 35 nowych urzędników rosjan.

— Pomocnik kasjera banku Azowsko - Dońskiego w Warszawie Iwan Łongin sprzeniewierzył 2092 rb. Defraudent został aresztowany.

Nominacja. Ks. Arcybiskup Symon, przebywający od lat kilkunastu w Rzymie, ma być mianowany proboszczem kościoła Marjackiego w Krakowie.

Z piśmiennictwa. W Krakowie ogłoszono konkurs z nagrodą 3000 koron na pracę historyczną o powstaniu 1863 r. Na czele komitetu konkursowego stoi prof. S. Askenazy.

Wynalazki. W Paryżu wymyślono instrument do latania, nazwany *Les aviettes*; jest to zwykły welocyped, zaopatrzony w skrzydła, wskutek czego welocypedysta, rozpędziwszy się, leci czas jakiś w powietrzu.

— Inż. M. Schmierer z Król. Polskiego wynalazł aparat, przenoszący przy pomocy prądu elektrycznego podobizny osób i przedmiotów z jednego miejsca na drugie.

Varia. Po długotrwałych poszukiwaniach odnaleziono zwłoki ś. p. Aldony Szystowskiej, która przed miesiącem zginęła w czasie wycieczki w Tatrach.

— W Ciechocinku władze zamknęły dom gry w sali hotelu Müllera, urządzony przez *pseudo* klub tennisowy z Warszawy.

— W Paryżu sufrażystka, literatka Blochowa, przez zazdrość o męża swego, zastrzeliła swą szczęśliwą rywalkę panią Bridgemanową, również działaczkę na polu walki o prawa kobiety.

— Z rozkazu Ministra Spraw Wewnętrznych O. Pius Przeździecki, kustosz klasztoru Jasnogórskiego został usunięty z klasztoru z poleceniem natychmiastowego wyjazdu bądź za granicę, bądź do Permu na zesłanie. O. Przeździecki wybrał to pierwsze.

— W Lublinie wyszedł z pod prasy „Nowy plan m. Lublina“ w bardzo dokładnem opracowaniu p. Witolda Cholewińskiego, miejscowego technika ulepszeń.

Osobiste Druga córka arcyksięcia Stefana, Matylda wychodzi za mąż za polaka, za ks. Olgerda Czartoryskiego; starsza córka przed dwoma laty poślubiła ks. Hieronima Radziwiłła.

Humor

TYPY I TYPKI.

KAMIENICZNIK.

Jako z baranów zdejmują wełnę,
On z lokatorów drze skórę;
Ma brzuch i kieszeń zazwyczaj [pełne
I gruboskórną naturę.
Jeśli mieszkanie wynajmie komu,
To czyni zwykle, jak z łaski,
Jest despotycznym władcą w swym [domu
Pan kamiecznik warszawski.

Skromnym „wapniarkiem“ był on [w młodości,
Mularzom podawał cegłę,
Dziś pamięć o tem w nim już nie [gości,
Bo czasy zbyt to odległe.
Kamienicznika godność zaszczytną
Mając, dumnemi lśni blaski
I widzi w żyłach swych krew błę- [kitną
Pan kamienicznik warszawski.

Choć dochód z domu zbiera obfity,
Biedaka często gra rolę,
Zawsze spragniony, nigdy nie syty,
Na ciężką skarży się dolę.
I gdy tym skargom hulać pozwoli,
Przedstawia smutne obrazki,
U lokatorów zda się w niewoli
Pan kamienicznik warszawski.

W marzeniach jego we śnie, na [jawie
Następny śni mu się Eden:
Runęły wszystkie domy w War- [szawie,
A został jego dom jeden.
Och... mógłby wtedy drzeć za ko- [morne,
Sypać podwyżki bez maski
I miałby życie rajskie, wyborne
Pan kamienicznik warszawski.

Krogulec.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—		Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „	„ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15	halerzy 25.
Za granicą i za oceanem „ „ „	„ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25	
W Austrji i Galicji „ „	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.	Zmiana adresu—20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 9 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień“.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.“ Redaktor **Feliks Kwaśniewski.** Kierownik liter. **Wacław Grubiński.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.